

Spotkanie nietuzinkowych

Jest w Łodzi szczególna szkoła średnia, którą ukończyli wybitni artyści, w tym Teresa Tyszkiewicz, Jerzy Trelński, Tadeusz Piechura, Grzegorz Przyborek, ale też aktorki: Barbara Brylska i Krystyna Sienkiewicz czy reżyserzy: Janusz Kondratiuk, Jacek Bławut, Waldemar Zawodziński. Poza tym pisarze, poeci, scenografowie, operatorzy... To Zespół Państwowych Szkół Plastycznych im. Tadeusza Makowskiego, który obchodzi 70-lecie. O wspomnienia poprosiliśmy troje absolwentów.

JOANNA HRK

scenografka teatralna związana z Teatrem Arlekin w Łodzi oraz ilustratorka książek; w liceum plastycznym w latach 1986-91:

Od najmłodszych lat intrygował mnie kolor. W szkole podstawowej trafiłam na wspaniałą nauczycielkę, panią Annę Dudzińską, która wzbudzała w nas potrzebę duchowego rozwoju, zdobywania wiedzy o kulturze. Kibicowała mi, gdy zdecydowałam się zdawać do „plastyka”. Zaraz po egzaminach do liceum plastycznego musiałam donieść dokumenty do sekretariatu. Pod szkołą widzę dwóch zarośniętych chłopaków, za chwilę trzech łysych, dziewczyny w postrzępionych spódnicach. Pierwszy raz zobaczyłam tak inną młodzież. Chodziłam do porządnej podstawówki, gdzie panował rygor, nosiliśmy mundurki. Byłam przerażona, czy się tu odnajdę. Raczej introwertyczka, byłam uczona, że kultura wymaga powściągliwości, pokazywania na zewnątrz tylko fragmentów siebie i nie wiedziałam, czy jestem gotowa na taki ekshibicjonizm, nie wiedziałam do końca, jaka jestem. Szok zniknął szybko, okazało się, że to, jaka jestem, było pod tym szkolnym fartuchem, wystarczyło go zdjąć jak wylinkę. W liceum miałam poczucie ogromnej swobody, nie anarchicznej, ale polegającej na tym, nauczyciele stosowali zasadę: jeśli masz pomysł, pomożemy ci go zrealizować, a jeśli powiemy, że nie warto, zaufaj. Wspominam to jako lata spędzone w megaprzyjaznej atmosferze, i ze względu na nauczycieli, i na młodzież. Mieliśmy w klasie barwne osoby. Na przykład chłopak, który nieprzerwanie rysował moczary, a sam mówił jedynie szeptem, zawsze w swoim świecie, szalenie nieśmiały, ale w grupie niezbędny. Wszyscy dobrze się czuliśmy razem. Tam nabrałam przekonania, że artyści to ludzie wrażliwi, bardziej życzliwi, serdeczni. W kamienicy na Próchnika 43, gdzie zaczynałam naukę w liceum, pracownia malarska mieściła się na strychu. Było stamtąd widać dachy okolicznych budynków – prawie jak w Paryżu. Nauczycielem rysunku był profesor Piotr Kononowicz, który wymagał od nas ciężkiej pracy: 30 szkiców co tydzień. Traktowałam to z obrzydzeniem, ale po kilku latach zrozumiałam, że chodziło o ćwiczenie ręki. Sama widziałam, że się rozwijam. Kononowicz – żartowniś – czasem sobie z nas dworował, ale bez intencji upokorzenia. Uwielbiałam go.

Najczęściej rysowaliśmy i malowaliśmy przy sztalugach na stojąco – jest wygodniej, gdy trzeba często odchodzić od sztalugi, by mieć perspektywę, zobaczyć, jak wychodzi rysunek. To, czy kompozycja, proporcje są dobre, można sprawdzić w lustrze. Ono bezlitośnie obnaża błędy, których nie widać w trakcie rysowania, a które jeszcze można poprawić. Mózg przyzwyczaja się do widoku rysunku, a odwrócony obraz zakłóca to przyzwyczajenie i od razu widać, co jest nie tak.

Nauka kompozycji polega na uświadamianiu, że człowiek woli ład od bałaganu, a porządkowanie jest łatwiejsze, jeśli przebiega w określony sposób. Inaczej myśleli na temat kompozycji starożytni Egipcjanie, Persowie czy Chińczycy, ale w naszym kręgu kulturowym złoty podział jest czymś, z czym nikt nie dyskutuje.

Uczyliśmy się rysować z natury – trzeba zaobserwować odległości, proporcje, perspektywę i przenieść to na papier. Trzeba znaleźć właściwe miejsce – gdzie usiąść, by kadr był jak najlepszy. W liceum nauczyłam się rzemiosła w najlepszym tego słowa znaczeniu. Dopiero mając taką bazę, wiedząc co to perspektywa czy kompozycja, można myśleć o ideach. Styl malarski wyrabia się sam,

jak charakter pisma.

W szkole ostrzegano, że artysta to ciężki zawód, ale mówiono też, że być artystą to przywilej. W mojej klasie były osoby wybitnie uzdolnione, jak Dorota Lewandowska, która w 15 minut robiła to, co reszta przez 3,5 godziny i jeszcze jej praca była najlepsza. Teraz jest grafikiem w agencji reklamowej w Holandii. Paulina Matusiak miała fantastyczną rękę do malowania – odniosła sukces jako grafik w Amsterdamie. Piotr Łoziński – ten nieśmiały milczek – tak rysował martwe natury, że szczeka opadała. Nauczyciele poświęcali im więcej uwagi – była szansa, że oni pójdą dalej w kierunku sztuki. Bo przecież nie wszyscy. Kto by przewidział, że kolega z klasy Adam Radoń zwany Mamutem, który ciągle coś rysował w zeszytach na matematyce czy polskim, a nauczyciel krzyczał, żeby przestał bazgrać te durne komiksy, w przyszłości będzie się zajmował komiksem. Pani Anna Rżanek – od chemii i fizyki – dostrzegła wartość tych komiksów i delikatnie popchnęła we właściwym kierunku. Tacy tam byli nauczyciele.

Przyjaźniłam się z kolegami z równoległej klasy: Dużym Sławkiem, czyli Sławomirem Kubalą i Piotrem Ambroziakiem. Duży Sławek pewnego dnia przyszedł w trakcie mojej lekcji i oznajmił pani profesor, że musi mnie zabrać. Prowadzi mnie do łazienki i mówi, że musi zgasić światło – poczułam się trochę niepewnie. Okazało się, że zrobił lampkę i chciał mi pokazać, jak działa. Wracam do klasy i napotykam dziwne spojrzenia i głośne szepty: o Jezu, Aśka! Okazało się, że w kabinie obok była koleżanka, do której docierał tylko nasz dialog, a zgaszone światło pobudziło wyobraźnię. Wróciła błada i na pytanie pani profesor, co się stało, powiedziała: Aśka weszła z Dużym Sławkiem do toalety, zgasili światło, on mówi: zobacz, podoba ci się, a ona: Boże, cudowne!

Piotr Ambroziak spóźnił się kiedyś i nauczyciel zapytał go o powód, a on na to: i tak mi pan nie uwierzy – wszedłem na chwilę za płot, a jak wyszedłem, była godzina później..., przeniosłem się w czasie. Innym razem przyszedł z oparzeniami na dłoniach – łapał ducha w butelkę: trzymał ją nad świecą i zagarniał ducha, a gdy chciał zatkać otwór, szyjka go oparzyła. To była młodzież wybrana... Dla mnie było oczywiste, że pójdę na studia artystyczne. Chodziły słuchy, że z naszego liceum niewiele osób dostaje się do łódzkiej PWSSP, bo nas tam nie cenią – podobno za jakąś manierę. Okazało się, że to prawda. Wydawało mi się, że w liceum poznałam podstawy, a na uczelni dopiero mnie nauczą malować futro, aksamit, jedwab, metal. Miałam nadzieję na Weny latające pod sufitem. To było naiwne przekonanie. O rysunku i malarstwie wielokrotnie więcej nauczyłam się w liceum niż na studiach.

ADAM RADOŃ

szef Łódzkiego Centrum Komiksu i dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier; w liceum plastycznym w latach 1986-91:

Dla mnie liceum było najważniejszym momentem w edukacji. Pomysły, które pojawiły się wtedy, realizuję do dziś – choćby z tego powodu ten okres muszę uznać za ważny. Stworzono tam atmosferę do tego, żeby mogli się uczyć, nabierać doświadczenia i rozwijać ludzie, którzy w żadnej innej szkole by nie zafunkcjonowali. Nie byliśmy słabsi intelektualnie, ale niesforni, pomysłowi i pełni energii. Było to nagromadzenie różnych charakterów, niekoniecznie wymarzonych dla nauczycieli.

Panował liberalizm, pod warunkiem, że nauka dobrze szła – wtedy szkoła stawiała się bardzo przychylnym miejscem. Jeśli nauczyciele widzieli, że zapał zmierza w dobrym kierunku, zamiast nas tępić czy równać do standardu, wspierali nas w tym. Można podziękować im za ich nieskończoną cierpliwość i wyrozumiałość.

Moi starsi koledzy wymyślili Klub Miłośników Fantastyki UFO-ZENEK (Zidentyfikowane Ewenementy Nielatające Ewentualnie Kroczące), do którego dołączyłem, gdy przyszedłem do pierwszej klasy. Pierwszą opiekunką była pani Anna Rżanek od fizyki i chemii – postrach szkoły. Koledzy z klubu publikowali rysunki w „Fantastyce” i w łódzkich gazetach, chociaż byli jeszcze licealistami. Tam zaczęliśmy poznawać komiks zagraniczny, którego w Polsce jeszcze nie było. Wojtek Birek któregoś razu przywiózł nam wielką torbę najlepszych frankofońskich komiksów i to

był przełomowy dzień - wpadliśmy w tę komiksową studnię na amen. Wszyscy koledzy z klubu funkcjonują dziś w świecie komiksu - jako stowarzyszenie Contur. Dziś to gigantyczne nazwiska na rynku ilustracji: Przemek Truściński, Tomek Piorunowski - autor okładek książek Andrzeja Sapkowskiego, Tomek Tomaszewski - wydawca „Popmana” i znakomity ilustrator Piotr Kabulak, który osiągnął wiele w reklamie. Wszyscy działamy wokół łódzkiego festiwalu komiksu, który stworzyliśmy i który ostatecznie nas scalił.

W liceum robiliśmy też przedstawienia, działało kółko miłośników historii sztuki, z którym podróżowaliśmy po Polsce. W tych grupach wspólnych zainteresowań nie było ważne, kto jest z jakiej klasy i ile ma lat.

W programie mieliśmy olbrzymią liczbę zajęć plastycznych, a i tak po lekcjach dalej rysowaliśmy. Z Agnieszką Zakrzewicz, dziś pisarką i dziennikarką we Włoszech, prowadziłem gazetkę „Zgrzyt”, a zajmowała się nami profesor Bożena Sawicka, która jest teraz dyrektorem w ministerstwie kultury. Jestem z liceum silnie związany i zawsze będę je wspierać. Na razie współpraca wygląda tak, że zapraszamy uczniów do pracy-wolontariatu przy festiwalu.

Liceum plastyczne to było miejsce spotkania ludzi nietuzinkowych. Później przyszły studia, też fajne, ale wtedy musiałem iść do pracy, więc z maturą skończył się dla mnie czas beztroskiej młodości. Przyjaźnie nawiązane w liceum trwają do dziś. To skarb na całe życie.

Ta szkoła wydobywa z młodych ludzi to, co w nich najlepsze, pasję i stwarza warunki, żeby ona mogła przerodzić się w coś poważnego. Potem osiągają sukcesy w różnych dziedzinach. Cieszę się, że mam zaszczyt należeć do grona ludzi, którzy ukończyli liceum plastyczne w Łodzi. Uważam, że to mnie wyróżnia.

MAGDALENA KACPERSKA

malarka i graficzka, asystentka na Wydziale Tkaniny i Ubioru Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi;

w liceum plastycznym w latach 1996-2001:

Rzeczywiście była taka fama, że po liceum plastycznym trudno się dostać do ASP z powodu naszego „zmanierowania”, pewnego ukształtowania, ale to nie do końca było prawdą. Do ASP dostałam się za trzecim razem - aby się dobrze przygotować, po maturze skończyłam jeszcze dwuletnie Policealne Studium Techniki Teatralnej i Filmowej przy liceum plastycznym. Dla mnie ten okres pomiędzy był najbardziej szalony i twórczy.

Liceum to był moment zachłyśnięcia - nagle nam, dzieciakom po podstawówce, otwierały się nowe ścieżki. Dotykaliśmy nieznanych nam problemów - związanych z projektowaniem czy malarstwem. Profesorowie byli dla nas mentorami, którzy pokazywali te nowe możliwości, zupełnie inny świat. Byliśmy zamknięci w enklawie - szkoła mieściła się wtedy przy Lipowej 47/49, w miejscu odgrodzonym. Klasy były nieliczne, więc wszyscy się znaliśmy i razem spędzaliśmy czas po zajęciach. Zawiązywały się przyjaźnie, które przetrwały do dziś, tym bardziej że dużo osób kontynuowało naukę w ASP. Od trzeciej klasy atrakcją były plenery, które dodatkowo nas integrowały i kształtowały. To wszystko było niesamowitą przygodą.

Czy nabieraliśmy maniery? Każdy profesor ze swoją charyzmą w jakiś sposób nas kształtował, ale wydaje mi się, że zależało im na nauczaniu nas warsztatu, podstaw formalnych, a nie narzucaniu własnych wizji i koncepcji.

Podstawy były najważniejsze. Poznawaliśmy wszystkie techniki malarskie i rysunkowe: ołówek, węgiel, tusz, lawowanie, farby wodne, olejne. Uczono nas, jak komponować na płaszczyźnie, dobierać kolory, modelować światło.

Niesamowite były lekcje rzeźby u profesora Władysława Kowalczyka. Polegały na zderzeniu z materia rzeźbiarską - gliną. Trzeba było z tej masy wyciąć formę, zrobić coś z niczego.

Miło wspominam też innych profesorów: wychowawcę Krzysztofa Balcerskiego od malarstwa i rysunku, Piotra Izydorchyka od głównego przedmiotu zawodowego, czyli w moim przypadku wystawiennictwa, ale i nauczycieli przedmiotów ogólnych: polonistę Czesława Michałowskiego czy

panią profesor od historii – Jadwigę Dyło.

Liceum plastyczne wzbudziło we mnie chęć zostania pedagogiem. Praca na akademii była marzeniem, które się spełniło.

Notowała Aleksandra Talaga-Nowacka